

Wymagajcie od siebie

„Wymagajcie od siebie, choćby inni od was nie wymagali!”

Jan Paweł II

Każde słowa o miłości są niczym barwny film w czarno-białym telewizorze. Chcielibyśmy móc zmierzyć miłość, sklasyfikować ją, kupić niczym chleb w sklepie, lecz nie jest to możliwe. Nie można jej wtłoczyć w nasze życie, nie można jej nikomu narzucić. Jednakże możemy bez ograniczeń ją rozdawać, możemy bez ograniczeń ją rozsiewać. Trzeba być cierpliwym siewcą, gdyż efekty nie przychodzą szybko. Wiele musimy się wokół niej nachodzić, pielęgnować, lecz gdy już wszędzie, dostarcza nam niesamowitych doznań i wtedy zapominamy o całym trudzie, a nasze serca napełniają się dumą i szczęściem.

Byliśmy niczym niewyróżniającą się rodziną (mama, tata, trzy córki) i tak by zapewne zostało gdyby nie... telewizja i program „Kochaj mnie”. Zdarzało się, że wspólnie zasiadaliśmy przed telewizorem i oglądaliśmy, oglądaliśmy i oglądaliśmy. Znamienne było to, że po programie coraz częściej rozchodziliśmy się w zadumie. Dziś już wiem, że każde z nas rozmyślało o tych dzieciach i zdarzeniach, które widzieliśmy.

Pewnego dnia reportaż dotyczył chłopców z pobliskiego domu dziecka, po programie ktoś rzucił hasło i już następnego dnia telefonicznie byliśmy umówieni na spotkanie z chłopcami. To był nasz pierwszy kontakt, nie za-

owocował wprawdzie, ale ziarno zostało rzucone. Można by opisywać naszą formalną drogę do rodzicielstwa zastępczego, lecz najważniejsza była droga naszej rodziny, wspólne rozmowy z dziećmi, tłumaczenie konsekwencji, a także blasków i cieni tego kroku, nasze dzieci (wówczas w wieku jedenastu, ośmiu i siedmiu lat) podeszły do sprawy nadzwyczaj poważnie. Wszyscy byliśmy przygotowani i zdecydowani na stworzenie rodziny dla rodzeństwa chłopca i dziewczynki.

Tak więc uczestniczyliśmy w kursach i czekaliśmy. Zdążyliśmy zaprzyjaźnić się z pracownikami Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, poznać rodziny prowadzące pogotowia rodzinne i dzieci w nich mieszkające.

Pewnego pięknego dnia i wcale nie za siedmioma górami i siedmioma rzekami, zadzwonił telefon i nasza „opiekunka” pani Jolanta poprosiła nas, abyśmy przyjechali do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie. Wiedzieliśmy, że to chyba jest właśnie początek naszej „bajki” i tak się rzeczywiście zaczęło.

Przyjęliśmy pod dach swojego domu pięcioro rodzeństwa. Najstarszy chłopak miał wówczas czternaście lat, najmłodsza dziewczynka niecałe cztery. Pierwsze godziny pełne dystansu, niezauważalne uśmiechy, półszepoty. Pierwsza pomoc przyszła ze strony naszych dzieci, to one pierwsze zaczęły swoją „pracę”. Nasza najmłodsza wzięła pod „opiekę” pięcioletniego chłopca i jego czteroletnią siostrę, średnia zaopiekowała się średnią, dziewięcioletnią dziewczynką, najstarsza nawiązała kontakt z najstarszym rodzeństwem (jedenastoletnią dziewczynką i czternastoletnim chłopcem). To właśnie nasze dzieci pokazały im, jak funkcjonuje nasz dom, co można, a czego nie.

Tak minęło kilka pierwszych dni, lecz okazało się, że dotychczasowe funkcjonowanie pięcioosobowej rodziny jest o wiele mniej skomplikowane,

niż funkcjonowanie dziesięcioosobowej. Pewne normy nie działały, inne trzeba było szybko zweryfikować, ustanowić nowe.

Postanowiliśmy zwołać zebranie rodzinne. Wszyscy mieli przygotować listę spraw, które im nie pasują oraz propozycje zmian, a my stworzyliśmy zestaw praw i obowiązków oraz zakres prac, które należało podzielić pomiędzy dzieci. Po burzliwych obradach udało się w końcu ustalić prowizoryczny plan funkcjonowania domu, a także zakres czynności dla poszczególnych członków rodziny, jednakże z zastrzeżeniem, że będzie możliwość weryfikacji i zmian w uzasadnionych przypadkach.

Tak rozpoczęło się nasze wspólne życie, okraszane śmiechem, radością, kłótniami i łzami. Już pierwsze tygodnie pokazały wielkie dysproporcje, najbardziej zauważalne w nauce, zachowaniu, a także wzajemnej tolerancji i solidarności.

Minął pierwszy rok, w którym wiele się od siebie nauczyliśmy. Dzieci przyswoiły sobie porządek i dobrze wiedziały, jak ma wszystko w domu funkcjonować. Miały wyznaczone swoje prace, wiedziały, że muszą pomóc w utrzymaniu ładu, przy obiedzie, itd. Z czasem okazało się, że my jako rodzice zostaliśmy wykluczeni z niektórych prac (sobotnie sprzątanie), „ponieważ brakło rejonów do sprzątania”. Naszym zadaniem było sprawdzenie sprzątanego oraz ewentualne pokazanie braków i niedociągnięć. Takie docenienie ze strony dzieci nagradzaliśmy tym, że sobotni czas wykorzystywaliśmy na zrobienie dzieciom pysznego deseru (ciasto, lody, itp.) oraz wspólną wycieczkę lub zabawę.

Gdy nadszedł czas wakacji, rodzice biologiczni wystąpili do sądu o przepustkę wakacyjną dla dzieci i taką otrzymali (sześć tygodni wakacji dzieci mogły przebywać w domu rodzinnym), była to dla nas decyzja zaskakująca,

sześć tygodni to bardzo długo. Mieliśmy obawy, jaki będzie powrót dzieci, co zostanie z naszego roku pracy, itd.

Przyszedł czas wyjazdu dzieci do domu (mieszkają osiem kilometrów od nas), umówiliśmy się z dziećmi, że będę do nich przyjeżdżał w każdą sobotę i w razie potrzeby będę mógł im pomóc. Wszyscy pojechali chętnie, cieszyli się z wyjazdu do rodzinnego domu. Co sobotę stawiałem się u nich i pytałem jak się bawią i odpoczywają. W czwartą sobotę dzieci miały już dość pobytu w domu i chciały wracać do nas. To był szok. Takiej wiadomości z ich ust nie spodziewaliśmy się. Dzieci wróciły, a nam w głowie huczało pytanie dlaczego? Dlaczego zrezygnowały z dalszego pobytu w rodzinnym domu i co je skłoniło do wcześniejszego powrotu?

Po kilku dniach „wziąłem” na rozmowę najstarszego chłopaka i zacząłem go wypytywać, jak było w domu, co robili. Opowiadał mi, że spali, do której chcieli, wstawali, jedli, szli na podwórko lub do kolegów, gdy byli głodni to wracali, coś zjedli i z powrotem na podwórko i tak do wieczora. Wieczorem oglądali film i szli spać, a nazajutrz scenariusz się powtarzał.

To, co mówił zgadzało się z tym, co przeżywali jeszcze rok wcześniej. Poświęciliśmy cały rok pracy na zmianę tych przyzwyczajzeń, bardzo często słyszeliśmy narzekania z ich strony, że chcą jeszcze pospać, że chcą oglądać telewizję, że nie mają ochoty na spacer, nie mają ochoty na naukę, na czynny wypoczynek. Otrzymali możliwość powrotu do własnych wcześniejszych przyzwyczajzeń, więc co się stało? Wówczas Igor stwierdził: *„Nudziło nam się i chcieliśmy wracać”*.

Lakoniczne stwierdzenie upewniło mnie, że nasza „praca” nie poszła na marne. Wiele myśleliśmy nad tym zdarzeniem. Nasunęły się nam następujące wnioski:

- chęć nudy to pozory, dzieci nie lubią się nudzić, potrzebują zajęcia, inspiracji, daje im to możliwość wykazania się inicjatywą i zabłyśnięciem,

- dzieci potrzebują obowiązków — to one dają im pewność, że są potrzebne, mają świadomość, że wykonują coś, co służy pozostałym członkom rodziny i wszyscy są z tego zadowoleni,

- potrzebują zainteresowania ze strony starszych, chcą wiedzieć i mieć pewność, że w razie potrzeby otrzymają pomoc,

- potrzebują stabilizacji, planu działania, harmonogramu. W naszym domu staramy się, aby niektóre czynności miały swoją ustaloną porę (np. posiłki) i dzieci dokładnie wiedzą, że o danej godzinie będzie na nie czekał posiłek i osoba, z którą można pogadać, którą ucieszy ich obecność.

Brak zainteresowania, brak czasu dla dzieci mówi im: „*Jesteś to dobrze, nie ma cię to też dobrze, nie interesujesz mnie, nie interesują mnie twoje problemy, itd.*” Bardzo ciężko jest żyć ze świadomością, że nikogo nie obchodzę. Dlatego też dzieci chcą być potrzebne, lubią się pokłócić, czasami ostentacyjnie pokazać swój upór i swoje zdanie, lecz jest to tylko gra i pragną, abyśmy z nimi w nią grali, a tylko od nas dorosłych zależy, jak będą ustalone reguły tej gry.

Bardzo często znajomi, czasami nawet nieznajomi, którzy wiedzą, czym się zajmujemy, pytają nas: „*Po co to wam, co was do tego skłoniło?*” Cóż odpowiedzieć? Kiedyś sam zastanawiałem się, co mnie „kręci” w tej „pracy” i znalazłem odpowiedź.

Gdy trafiły do nas dzieci, ich postawa, stan wiedzy i zasad był na niskim poziomie. Codzienna praca pozwoliła, aby uczyniły krok naprzód i to chodzi o ten właśnie krok. Uświadomiłem sobie, że każdy ich „krok” przeżywam tak samo, jak pierwszy własnego dziecka. Nie może tego zrozumieć ktoś, kto

nie był przy takim wydarzeniu, przy pierwszych słowach, a kto był i pamięta, pamięta również, jaka towarzyszyła temu radość. Zdałem sobie sprawę, że teraz również mam taką satysfakcję.

Niesamowite uczucie, gdy zdamy sobie sprawę, że dzieci naśladową nasze zachowanie, respektują warunki, które ustaliliśmy, chętnie służą pomocą, itd. To właśnie daje nam tę siłę, dzięki której idziemy dalej. Cieszy nas, gdy patrzymy na nasze własne dzieci, które pokazały nam, że potrafią pomagać, pracować i dzielić się z innymi.

Pewnego dnia, gdy jednemu z dzieci brakło chęci do nauki, rozpocząłem „kolejny wykład” o potrzebie kształcenia, zmarnowanej szansie, kończąc stwierdzeniem: „*Będziesz żałowała w przyszłości tego, że dziś nie chce ci się tego zrobić*”. Odpowiedź jedenastoletniej wówczas dziewczynki, która ma wielkie problemy z matematyką, myśleniem przestrzennym, zbudowaniem logicznego zdania była dla mnie szokująca. Odpowiedziała: „*Wiesz, czego żałuję? Tego, że moi rodzice nie potrafią żyć normalnie!*” Dopiero później zrozumiałem, jak wielkie mam szczęście, że mogę codziennie być ze swoimi dziećmi, mogę z nimi rozmawiać, pomagać, żartować i wygłupiać się. Mam kochaną żonę, na którą zawsze mogę liczyć. Uświadomiłem sobie także, że dzieci, oprócz wszelkich zasad i nauk, chłoną także atmosferę, która panuje u nas w domu, naśladową nasze zachowanie i być może przeniosą je w swoje przyszłe życie.

Być rodziną zastępczą to stawianie wymagań sobie i dzieciom, choćby inni od nas tego nie wymagali.

Wspomnienia Rodziny Zastępczej z województwa dolnośląskiego